



Tomasz Bak

KANADA

KANADA

Tomasz Bak
KANADA



WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
I CENTRUM ANIMACJI KULTURY
W POZNANIU

Hip

Szydera rozbija się. Puszczony w skarpetkach
samobieżnych gram arytmii na lewej zastawce
Babilonu, gdzie występność środka poleruję niewinnością celu.

Sedes z marketu jest znakomity.

Na jego gruzach powstanie nowy, wspaniały świat
lub klubokawiarnia dla hipsterii; dla takich rzeczy

naprawdę warto się zadłużyć. Sedes z marketu
jest znakomity. Są poza prawem suplementy,
które umożliwiają załogowe loty na dowolną z planet.

Najlepsze, co możesz zrobić w życiu, to otworzyć
własną restaurację lub pizzerię! Pokaż mi swój łom,
a powiem ci, jaki z ciebie lewak.

Chiny

Druk na palcach, ślady linii papilarnych na drukach.
W ten sposób obala się mity o zbrodniach doskonałych,
małżeństwach z miłości, gregoriańskich formach antykoncepcji.

Chiny są wszędzie – jesz, śpisz, trawisz.
Chiny. Wszystko twoje, co wyłowisz z odpływu.

Rozmowa z przedstawicielem kontynentu azjatyckiego
wykrzacza się? Prawidłowo. Bądź pestycydem,
naturalnym; jak plankton z za zęba dryfuj po bezneciu.

Do reszty masz ludzi, spójrz – plankton zazębia się
w trybach rozkazujących, zdalnie. Krasnoludki grają ślepców,
wykonują krecią robotę – irygują, spulchniają, wietrzą.

To ewolucja systemów społeczno-ekonomicznych dla zuchwałych
– wygłuszonymi palcami depczemy po przykrywce;
folii rozciągniętej nad zagonem truskawek.

Płytko? Zedrzyj filc ze stopy i tupnij.
No tupnij. Wymierz w system i dupnij.

Kakofonia

Centrum ma swój beat: orkiestrę na światłach,
big band w drogerii. Przed skrzyżowaniem jest czas na chill
– niewielką improwizację na rozkopanym chodniku.

Muszę uważać, by nie zginąć na wybrukowanej pięciolinii,
gdy pod nogami płaczą się basy, błyszczą szesnastki,
między młot a kowadło trafia pisk, hamulec bezpieczeństwa.

Jestem nu jazzem w szerokich butach, pełnym kosmosem,
melotronem. Nie podobam się publiczności, więc spieprzam
z duszą na ramieniu, uosabiam soul, bis, ostatnie pożegnanie.

Rozjechany kot przypomina mi, że nie ma już rzeczy wiecznych
– na ten moment, forever to tylko Batman, Rabka i remonty.

Woalka [praxis]

O trzeciej dziewiętnacie czasu polskiego, na Powiślu, Polesiu bądź Nadodrzu, przed burokolorywym telewizorem marki Rubin i Canal+ z kradziochy, kibic staje się wywrotowcem.

Właśnie nadają NHL. Obrona Kojotów jest dziurawa jak skarpeta, którą w lepszych czasach faszerował szmałem tak, jak faszeruje się kwaśną stalą frajerów po obu stronach

rzeki. Widz bierze timeout i odpala szluga, wpasowując się w zmęczoną twarz kamienicy, pamiętającą wszystkie hokejowe bójkę od Wiosny Ludów począwszy. Któż nie chciałby tańczyć na lodzie,

być jak Gretzky, Crosby czy Łukaszenko? Esta noche i nic więcej, jedna tylko gęba rozrzedza mgłę dymem. Nad jego głową wisi szmata – wdowa po dziadzie zmarłym bez wieści kilka sezonów temu.

Nikt nie zaopiekował się wystawiającą jęzor zwłoką, która powolutku zaczyna przypominać dekorację i pluje jadem na głowy sąsiadów niższego rzędu. On już wie. Viva Polonia, Killing an Arab, obalić reżim,

pieprzyć wszystkich kibiców rozlicznych barw, którzy solidarnie chcieliby spuścić wpierdol Alemu Agcy. Bohater gasi peta i odnajduje się jak brud w pępku świata który, tak jak on wie, czego chce.

Chce walczyć o wolność i dostać wykluczenie, dać się złamać jak kij na głowie słabszego obrońcy. Chce wyrzucić telewizor – rozkwasić kineskop bądź kineskopem.

Mieszkańcy Kłodzka domagają się prawdy o katastrofie smoleńskiej!

Prawda musi zostać wystawiona: grunt to powietrze.

Grunt to nie wadzić o grunt, nie płakać

o wszechświat. Prawda musi zostać wystawiona.

Sieć bat-mobile stoi na straży snu

i jej raport obudzi cię o dowolnej porze.

Sieć bat-mobile rozsyła twoje smsy wniwecz.

Prawda musi zostać wystawiona: sieć bat-mobile

uprzejmie donosi, że Kłodzko żąda prawdy o.

Telefon pod kroplówką macha rurką tracheotomijną.

Opluty strikes back.

Naciąga maskę i oddycha głęboko
niczym Darth Vader
lub czytelniczka „Twojego Imperium”.

Opluty strikes back.

Wkłada płaszcz z teflonu,
którego nie ima się ślina,
wychodzi w miasto i cyk!

O-o-o-pluty, o-o-o-pluty
i cyk!

Opluty strikes back.

Osuwa się na kanapę i zaczyna prasówkę;
spija pianę z ust publicystów
od lewej do prawej.

Opluty strikes back.

W ramach szeroko pojętego
relatywizmu kulturowego czyta wszystkich
także od prawej do lewej, i cyk!

O-o-o-pluty, o-o-o-pluty
i cyk!

Otu-otu-otu-otuuuutu-tu!

Z tego miejsca słycać wszystkie misheard lyrics.

Opluwają go funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.
Opluwają go Służebnice Boże.

Opluwają go Służebnice Boże.
Opluwają go funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa.

A opluty? Strikes back.
Zdejmuje maskę, odwiesza płaszcz
i oddycha głęboko, bo kiedyś na pewno będzie
Darthem Vaderem. Wyjdzie w miasto i cyk!

O-o-opluty, o-o-o-opluty
i cyk!

W którejś części Imperium musi kontratakować.

Brukowiec

Mała scena w centrum: dwóch mężczyzn na barierce pod Biedronką.
On był Jezusem, ja byłem Elvisem, obaj w szczytowych momentach kariery;
szerocy w barkach, bankach lub biodrach.

To musiała być wiosna, bo po trawnikach biegały rasowe roadkille,
a na ławkach siedzieli członkowie koła młodych HWDP
i może lepiej, że ograniczali się do siedzenia. Rozsmakowany

w mocy atrakcji, atrakcji aż do wyrzygania – alkoholu, kolegach,
krótkich spódniczkach umiarkowanie uroczych dziewcząt
– żyłbym długo i szczęśliwie, ale kiedyś trzeba było.

Wspominam o wszystkim, bo musisz wiedzieć, że nie mam dobrej prasy
i tobie też nie uda się jej kupić – przyszedł pan i zburzył kiosk,
podręczny symbol załatwiania potrzeb w miejscach publicznych.

Klip

Korespondencja wojenna z obłąconego blokowiska, buziaczki i odrobina nekrofilii tuż po wieczorynce. Tak zwany prime time.

W tym miejscu wypada wprowadzić pierwszego z bohaterów lirycznych. Idzie. Niesie kaptur i balaklawę, złoty łańcuch

i złotą płytę. Idzie. Nie mieści się w bicie. Jest szkodliwy społecznie, zwiększa masę i ryzyko wystąpienia underclass.

Idzie. Jebie policję. A więc zaklął szpetnie, jebany. Idzie. Reprezentuje biedę. Prowadzi krucjatę,

ciągnie za sobą armatę. Idzie. Wsiada do Lexusa, jedzie. Reprezentuje biedę szybciej i na większej przestrzeni.

Na scenie pojawia się drugi bohater, nadpobudliwy niby-rycerz. Na razie nie idzie. Na razie leży w łóżku.

Nie śni o kobietach, nie miewa koszmarów, nie śpi. Czuwa. Wsłuchuje się w głos najdroższej ojczyzny. Wolna. Kurwa,

szkoda, a więc nie będziemy prowadzić wojen. Szczotkuje zęby, wkłada garnitur, wychodzi. Idzie. Udziela wywiadu, siada do obiadu.

Mógłby zostać poetą, ma frazę i kilka ulubionych słów. Idzie. Autoryzuje wywiady, rozbija układy. Spotyka bohatera numer jeden.

Idą. Wychowują, terroryzują, zbierają popleczników. Poplecznik to człowiek z aparycją bohatera teledysku o kopaniu leżącego;

dzieciak zachowujący się jak szczenię, które śwędzą dziąsła. Ponadto, właśnie teraz, idą. Prowadzą natarcie, obrzucają błotem okna i telewizory.

Zbieram szkło i puszczam farbę. Z wyższego szczebla spada uboczny efekt przemiany materii.

Krostka

Szukałem szczęścia, a spotkałem ciebie. To naprawdę
nie jest dobre połączenie: osoba posiadająca pewne cechy

poety i miejsce aspirujące do bycia klubem. Zwiastuję skandal,
małą odmianę – odrobinę koniugacji w stylu techno:

ty tańczysz, ja prawie, on chce dać mi w mordę. Doceniam cudze
prawo do błędu i świętowania urodzin, ale dlaczego akurat tutaj?

Stań przy kolumnie i powiedz, a ja wyciągnę wniosek. Będzie prosty
jak droga do domu, zupełnie inna od tych, po których się poruszam.

Tymczasem baw się dobrze, bądź brilliant i trendy, bejbe,
niczym biały t-shirt odbijaj stroboskopy. Możesz być wolna za dwoje,

ja z góry dziękuję za taki freedom.

Blame, Etc.

Naprawdę mogłeś dać sobie na wstrzymanie z tymi życzeniami ,dużo miłości' etc.

Naprawdę mnie to nie bawi. Myślałam, że jeśli nie odpisuję na Twoje wiadomości to komunikat jest jasny,

ale najwidoczniej muszę to napisać wprost:
ZOSTAW MNIE W SPOKOJU i nie pisz do mnie więcej.

Call

Lżyj bluesa. Nasyć przester, podkreć środek
i napisz parę piosenek o miłości
lub innych czynnościach, o których nie masz pojęcia.

Zresztą, nieważne – możesz śpiewać po angielsku.

Twoje brzmienie to twoje brzemie, to każda kobieta,
której z wzajemnością zniszczyłeś życie,

to wszystkie błędy w nazwisku
drukowanym na billboardach, biletach i w nekrologach.

I nie chodzi o panienki ani o darmowe drinki,
najważniejsze to zostać legendą, być
jak Robert de Niro, Irek Bieleninik,

jak jutro – nie umierać nigdy.

How, how, how, how

Jak lekki funk unosi się nad brukiem¹.

¹ Wiersz nie powinien zaczynać się w ten sposób, potrzebne jest tło: gęsta mgła, wściekle psy, plac Kościuszki. Delikatny chłód, pusty przekaz, świt.

Chodzę od domu do domu i nie włączam alarmów.
To była bardzo dobra decyzja – nie mogłem spać,
więc wyszedłem. Popatrzeć jak latarnie nie świecą.

Krokodyl

Kwiecień, zielen rzuca się na jemiolę. W promieniach UV i cieniu pasożytów Kamienna, Wrocław, dolnośląskie wygląda jak Venice Beach, Los Angeles, California. Chociaż troszkę. A ja stąпам po nieparzystych płytach chodnika,

bogatszy słowem każdego poety sprzedanego w promocji; zwawszy tkanką z tkanki przeszczepionej od Świtezianki; twardszy kością z kości dowolnej krowy przemielonej w kotlet. Odziany w baner każdego sponsora, który mnie zechciał.

Nagi i niczyj. Mijam tornado na Świebodzkim, mijam tornado przy Eurece. Oblizawszy wargi kontynuuję obchód, bo tornado obchodzi się smakiem. W Pasażu Niepolda czterech mężczyzn o zapachu Lacoste, oddechu Czysta de Luxe.

Ich celem jest dominacja, kształtem – kwadrat, poszyciem – „Playboy”. Nadgryzają wzrokiem kobiety o brzuchach płaskich jak ziemia, w spodenkach krótszych niż historia niepodległego Kosowa. Chłopcy chcą stawiać je na ostrzu noża, nadziewać na ruszt,

taplać się w ich sosie. Chcą konsumować i pozbawiać opakowań, ale ktoś im [access denied]. Nie mają chryпки Grega Dulliego, torsu Marlona Brando, pierwszego kroku Derricka Rose’a. Wódka nie jest afrodyzjakiem i e! nie może stanowić zaklęcia.

Och, Akme! Sezamie, otwórz się; Sezamie, odpuść ramiączko; powtarzaj za mną: wzdrzaj słońce, stop lodowce, zagotuj wodę.

Och, Akme! Co jest tym detalem, który przewracasz w palcach, który ci niknie w piersi, zdradza twą treść, nadaje tobie kształt?

Bo jeśli świat faktycznie jest talerzem z duraleksu, opartym na czterech ostrzących zęby krokodylach, to ja jestem na tym talerzu włosem. Jestem na tym talerzu bliźną. Jak ser w mikrofalii przetopiony na śmierć.

Wentyl

Wyszedłem jak od siebie z domu. Wróbel leżał na chodniku i nie żył, a gołąb kroczył z powszednim obwarzankiem u szyi. Co na to mądrości narodu? Mój światopogląd kolejny raz poległ w starciu z bliżej niezidentyfikowanym Babilonem.

Jak wtedy, gdy okazało się, że moje koleżanki, osobiście zawzięte fanki TV Trwam, że one też. I to jak! Wprawdzie bez żalu za grzechy, za to finezyjnie i niewątpliwie wniebogłose. Właśnie wtedy dojrzałem i świat zmieniał się tylko na gorsze:

w moment przy włączonym radiu, po którym wiesz, że R'n'B to nie jest rhythm & blues w dużym skrócie a osoba z drugiego końca fali nie może być Opatrznością.

Znów szukałem prawdy i blisko, znów – alarm był fałszywy, nie zawiódł mnie kłamca, lecz bateria w wykrywaczu.

Mądrości narodu nie rozważają takich sytuacji, nie mają na to czasu. Otrzymały prawo do strajku, więc krzyczą, domagają się żywołów; ciepłej wody i świeżego powietrza. Odpowiedzi dostarcza forum - user pancogito14 wystukuje przesłanie na miarę nowego milenium:

i, d, alt+x.

Response

Thrill is gone, thrill is gone, babe;

– nuci anielica w czwartym akcie Apokalipsy
według Jasia Kapeli – lewackiej superprodukcji
dla młodzieży w stanie silnego upojenia alkoholowego.

Tam są takie kadry, że [wah] rozsuwa rytm,
że wycieka flow, że się budzę z krzykiem,
apetyczny niczym woda z żeliwnego kaloryfera.

Nie gniołę rokędrola, bejbe, nie szukam twoich śladów,
nie biegam po śniegu w białych skarpetkach.
To krótkie epitafium, w bagnie kawał schabu;
cudze hity lata w oczy cudzych kobiet.

Tak, będzie głośno, ale tym razem
hałas nie oznacza wojny, to tylko koniec
pewnej znajomości. Być może ucichnie
bez interwencji z zewnątrz.

Anemometr

Żyjemy w czasach ostatecznych
Wojciech Wencel

Początek wiosny. Brodzik przed miejskim basenem
powraca do życia po krótkim zmrożeniu.

Chłopcy, których nie stać na bilet,
moczą w nim stopy i wydłubany z dna szafy
outlet kolekcji jesień-zima 2010.

Nadymając się silnie,
by stworzyć iluzję zagrożeń iście śmiertelnych,
spychają z brzegu łódeczki z kasztanów.

Wykałaczką wbita w pokład promu sunącego do wieczności,
w sytuacji ostatecznego wzmoczenia moralnego,
może służyć za włócznie – w walce z niewiernymi
lub ewangelizującymi – tylko po co?

Bo skoro słowo ma celne być, jak torpeda
posłana przez Łukasza Niebodepta
wprost w piątkę pierwszej Gwiazdy Śmierci,
to zaprawdę nie warto zawierzać życia przyrządom.

Lepiej przymknąć oko. W świecie idei bóg znany z imienia
jako Jezus, Budda lub Gabriel Batistuta
może posiadać dokładnie te same właściwości.

Bo nikt nie docieka tożsamości zdradzonych o świecie,
a to przecież za sprawą pirata z roletą na prawym
i obłędem w lewym, trafiają w ładownię jak kamień w wodę:

Polska, Prawda, Protest i Wolność;
Wiara, Solidarność, Literatura i Godło;
Wolne Media, Silna Władza i Równość Wobec Prawa.

Ci, którzy nie rzucają głosów swych na kasztan,
pozostaną na bezpiecznym niegdyś brzegu,
będą mieszkać w domach bez ścian i ognia.

Bo czy można się skryć i ogrzać,
gdy w spizarniach stoją już tylko słówka
zawekowane w maleńkich słoiczkach, powiedzmy:

dzedajizm, clubbing, swingersi i koklusz;
dziwki, lasery, Pancerne Rowery;
gówno, ekskrement i nieczystość stała?

Nocą, pod gołym niebem apokalipsę zastąpi sen:
dwustronny i przewrotny jak moneta; spocony na półmartwo.

Reszką będzie w nim człowiek bez twarzy,
homogenizowany w domniemanym chłodzie,
strącony jako żywo w transmisji na żywo
w przeterminowane czeluści sera twarogowego Tartare.

A orzeł? Żart suchy jak kasztan w środku kwietnia;
faryzeusz wracający z podróży dalekiej na dwa łokcie
wystawione zza bocznej szyby postnowoczesnej Łady Nivy;
z ojca Polaka i puenta jego mać.

Bo skoro pojęcie narodu jest karą boską,
to każda próba ugrania na nim zbawienia
winna być po trzykroć: be, be, ba-bel.

Apokryf

Letni rozkład, plenerowe imprezy do białego rana
lub pierwszego przyjazdu policji. Cudów nie ma.

Po kilku godzinach w pełnym słońcu można dopatrzeć się
ulicznych interpretacji scen z Ewangelii, świętych w japonkach.

Wczoraj na przykład jechałem rowerem i prawie zabiłem Ducha Św.
To musiał być on, bo zwykle gołębie nie bywają tak niebiańsko białe.

A dzisiaj jest gorzej. Poznałem człowieka, który w piętnaście minut
odegrał monodram na podstawie misterium męki pańskiej.

Wcześniej wydawało się to niemożliwe – tak po prostu, równolegle
grać role mesjasza, Judasza i Magdaleny: upaść, umrzeć i zapłakać;

zmartwychwstać, otrzepać się i iść na dziwki. Czysta perfekcja.
Brudna perwersja. Nawet się nie zająknął, nawet nie przedstawił.

Wycodził tylko przesłanie. Siedzieć i pić czerwone wino
to jak być Bogiem i móc przełknąć cudzą boskość.

Kampania napotyka opór. Ala ma
antywłamaniowe, a każde drzewi
antywłamaniowe mają jakieś ale.

Nie wszystkie ostrzeżenia drukuje się na paczkach.
Palenie tytoniu pozwoli ci nawiązać szerokie znajomości;
palenie tytoniu może uchronić cię przed sowitym wpierdołem.

A to, że internetowi wszystko robią sami, zbawieniem jest
czy przekleństwem? Ja na Łomży zjadłem zęby [facet z jedynką
jakby wpół niesfornym kapsłem], więc wsadź sobie sceptycyzm.

Św. Franciszek z dworca autobusowego nie ma gdzie mieszkać
i jest szczęśliwy, więc bierze chleb, łamie, i rozdając
głodnym ptakom prosi, by chociaż one na niego nie srały.

Jaki pan, taki chłam – z dworca autobusowego nie ma gdzie mieszkać,
a ty rozkładasz ręce, otwierasz piwo wizerunkiem NMP
i nacierasz skórę Józoffem, obrazoburczym środkiem owadobójczym;

w ekumenicznym duchu składasz zdania orzekające, niczego sobie
nie oznajmiając. Nie ma takiej religii, która nie byłaby religią
miłości. Nie ma takiej bajki, której nie dałoby się przerobić na porno.

Mad Season

Aerozol planet, żywot wieczny amen.

Hej, dobry Boże z działką nad jeziorem,
przysmażeni po filtr spijamy twoje zdrowie;
w wiadrze krew się mrozi,
[chrup!] orzechy w miodzie.

Musi być tęsknota za kosmosem,
gdy za Pilskiem znika słońce
(pomarańczowy Spalding
muska siatkę kosza na biohazard
a Żywiec miękko ląduje za chmurzyną).

Wiesz, wykminiłem taki capstryk,
higieniczny dowód na istnienie ciebie:
le grande finale i błyski, no pomyśl
– ktoś musiał umyć te wszystkie okna!

Na dalszym brzegu coś zaczyna się,
Jasne.

Antyrama

To doprawdy zatrważające, że nie istniały już żadne sensowne powody do miłości. Tak, jak w każdej innej epoce: zarabialiśmy pieniądze

i przesuwaliśmy linię frontu, żarliśmy i spalaliśmy żydokalorie.
Albo: sypialiśmy nago i długo, by potem oświadczać się

przypadkowo i czysto higienicznie. Istniał świat, były kobiety
i nieodpowiednie ilości alkoholu, Bóg, śmierć i proste przyjemności

w tak zwanym międzyczasie. A jednak – nie kochamy się
i sąsiedzi nie mają nam absolutnie nic do zarzucenia.

&

Tak se tłumacz, chłopcze.

Całuj w czółko chińską podróbę Fendera
i śpiewaj o kobietach – śpiewaj głośno,
bo tylko to Ci pozostało:

falsz i najprostszy determinizm, jeden erotyk
na jedno życie. Bądź wierny, to daleko nie zajdziesz.

Poczyńska pewne kroki i od tej pory
wszystkie oczy wpatrzone w ciebie
będą należeć do mnie.

Wszystkie sterczące sutki
na wszystkich bekstejdżach świata
będą miały kształt bliźniaczo podobny do moich,

a wszystkie żywiły staną po stronie biednych i uciśnionych
– to mnie będą bronić, chłopcze.

Usiądę na schodach, żeby wywołać wilka.

Pójdę do fotografa, żeby odwołać twoje zdjęcia.

Zaczynałam sauté, a wychodzę w płaszczu, chłopcze.
W lodówce zostawiłam dla ciebie złośliwość rzeczy martwych.

Oran-yeah!

I tym razem wcale nie chodzi o narkotyki.
Soccer opiera się na emocjach, kibicach,
pieniądzach, szamponie przeciwłupieżowym.

W ustach brytyjskiego sprawozdawcy Dutch
brzmi jak bitch, gdy Arjen Robben mija
kolejnych niepiśmiennych potomków Szekspira

i oddaje strzał, precyzyjny niczym podział pracy
w przystadionowym handlu: produkują żółci, sprzedają czarni,
zarabiają biali. I wszyscy są zadowoleni, bo tak musi być,

bo fani nie wiedzą, że życie przypomina czasem
futbolową sytuację sporną. Ze powtarzana do znudzenia
prawda obiektywna dostępna jest dla wszystkich

poza głównymi zainteresowanymi. Ponadto jest gol
i jeśli Holendrzy mieliby jakiegokolwiek surowce mineralne,
to po tej akcji wydobyte wzrosłyby o kilkanaście procent.

Ostatni gwizdek rozpoczyna dionizje. Dzieje się:
przegrani wracają klasą turystyczną, pomarańcz spływa ulicami
Cape Town a Jimi Hendrix pospiesznie aranżuje Wilhelma z Nassau.

Oddając głos do studia wierzę, że gdyby Bóg istniał
i zechciałby zrobić mi dobrze, to w wielkim finale
zasiedlibyśmy w jednym sektorze.

SELAVIP

W kosmosie nie ma siedzących. Światu tyje równik,
z perspektywy śmiecia jest to wyobrażalne przynajmniej.
Ściągam stąd wszystko, co zdołam przetworzyć.
Fajerwerki zamiast dachu nad głową, puste puszk
zamiast kasy na prowiant. Ogień.

Niepotrzebny nikomu, wciśnięty tylko w państwo,
krwiobieg podatku. To jest elektryczność,
która parzy w dłonie; to są wodociągi,
które drażą glebę. To jest drobiazg tak zbędny,
że aż go szkoda nazwać. Jestem azofoskiem,
użyźniam. Przekształcam cudze grunty
w ziemię niczyją – sieję, zbieram,
burzę.

Dykta

Pierwsza, ale jednak bliżej drugiej; noc iska się,
burzy. Z trudnością powrotu: z kałuży
w kropkę, z miliona kropel w comeback.

To jest świat, który mnie czeka;
świat, w którym mam złotą kartę,
któremu jestem wierny,
który mi daje dwadzieścia procent gratis.

Trud ością powrotu. To jest pasja,
która łamie żebra; dans makabr
jako pociąg znaleziony poza torem,
pociąg zakończony na podłodze.

To jest weselny pociąg z refrenem;
to jest żalobny pociąg na kondukt.

Chłopak w koszuli z zaśnieżoną spinką,
wiejskie wesele niemalże bez ofiar;
żeberka-bioderka na popularną melodię:
wykoleo-leo, wykoleo-leo-lao-li.

To jest pociąg pasażerski,
paździerz wypełniony mięsem.

To jest pociąg pasażerski,
pieprzyk nieopodal rzęsy.

To jest pociąg pasażerski, pomyłony
przez po. Boga z solniczką:

===/=; ===/=; ===/=;
akcja serca w normie.

===/=; ===/=; ===/=;
świątek pościelony ostrzej.

Z takiej pasji mógłby zrodzić się cudowny biznes,
jak po szynach – leży, śmieje się.

Czech Airlines

Podczas nocnej warty, ze stanowiska przy Kamzиковej 5,
Praga przypomina miasteczka z kraju bunga-bunga,
z ich ciasnymi uliczkami, zamazonymi pelargoniami
i naściennym brudem, godnym rewitalizacji.

Podczas nocnej trawy w dzielnicy Praha 1 Mojżesz ma dość
i kładzie na to lachę. Tłum nie rozstępuje się.
Nad Mostem Karola krążą ptaki podświetlone w Duchu Świętym
a w blasku Hradczanów grzeje się złe, które miesza nam ścieżki.

Oczko początkującego spadochroniarza odbija strach
i miasto – spowity mgłą ekstruder do wyrobów mącznych,
efektywny jak piekło korzystające z dobrodziejstw outsourcingu,
pozbawiony skrupułów i umiaru. Ma dość rąk do pieczenia chleba

i wciąż gąb, by wyczyścić podaż. Pod ziemią jest już nadto nawozu:
kąkol wgryzie się w żyzny grunt i nadprogramowa biletostacja
nie zmieści się w taryfikatorze, łypiąc swoim sewenhundertkorunicz.
W tym starciu nie sposób odnieść choćby i moralnej wiktorii,

bo z tej perspektywy Czechy są zalkoholizowane, zdepenalizowane
i nie można o nich opowiadać mamie. Seksualne, ale nie tak,
jakbym sobie tego życzył; nie w tym towarzystwie, kształcie
i stylu. Bo problem jest inny, niż by wskazał marketing

– ściśle pozafarmaceutyczny, i to ty nim jesteś. Bo czy warta śmierć,
by rozrzucić szczątki, zamiast po ludzku otworzyć spadochron?

I czy warto dziewczę, by porwać samolot, wzlecieć i późno w noc
zasłynąć o najwyższe piętro Sky Tower? Bo to by było na miejscu:
raz w życiu zachować się jak mężczyzna; nie mrugać, nie płakać,
nie patrzeć w wybuch. I w końcu, a co żołnierzu kobieta twa

ze złotej Pragi dostać ma, bo jeśli przyjmiemy wędrówkę dusz
za immanentną, to czy możliwa będzie zmiana trasy?
Bo nawet ze wsparciem deus ex machiny nie zawadzi synchronizacja,
jednoczesny występ a następ – reinkarnacja poprzez abordaż.

Z wilgotnego powietrza na Florenc, p̣restupni stanice.
Z Wyszehradu w gwarny bruk styku dzielnic. Z uśmiecchem
i naiwną wiarą w cudze miłosierdzie, bo przecież
wyjście awaryjne obsługuje kierowca.

Kanada

Wyobraź sobie kolejne warstwy ciekącego lodowca, śnieg
w październiku, grudniu, styczniu, lutym i marcu

– martwy naskórek, a pod nim zwierzęta wypchane białą śmiercią.
Inuici mają ponad czterdzieści określeń na śnieg, a my

musimy wspierać się wyrazami powszechnie uznawanymi za obraźliwe.
Wyobraź sobie kieszonkowy słownik, a w nim tegoroczną zimę, minę

przeciwpiechotną i kredyt konsolidacyjny, wszystko pod hasłem:
wzród na tyłku o przedłużonym terminie ważności.

Potem kładziesz się w pościeli miękkiej jak papier toaletowy, śniesz
nowomowę i widzisz ludność cywilną zamiast pomyłki, trzydzieści ciał

w workach zamiast incydentu. Autor z miejsca podaje się do dymisji,
bo ileż można pisać o potopach i o tym, że spadł śnieg, tyle śniegu,

że nawet dzieci nie wiedzą co z nim zrobić. Wobec zimy zwykły chuj
wydrapany na szybie starego, źle zaparkowanego forda escorta

wydaje się być żartem w stylu angielskim. W butach i kurtkach,
nie w Polsce i zadumie. A teraz pomyśl, że też możesz być zwiastunem

– mieścić się w granicach, lecz myślami być już na zewnątrz.

Pressing

Wojna przypomina futbol?

To futbol przypomina wojnę, najpewniej.

Króla strzelców w niemym filmie z Mateuszem Borkiem;
capriciosę, capuccino, cosa nostrę.

Zoom na kryzę. Krzyżowy ogień w środku pola,

gdy, z lekkim rozmachem,

zdmuchnięty przez czerwono-czarnych,

Giuseppe Meazza padł.

Przypomnijmy:

Giuseppe Meazza związany był ze środowiskiem futbolowym;

to się stadionom czasem zdarza.

Albo lata dziewięćdziesiąte w Europie Środkowo-Wschodniej
i żaden tam Dino Baggio, tylko Dworzec Centralny w Warszawie.

Podchodzi do ciebie Wojciech K.

– oskarżony o zmarnowanie wielkiego talentu –

w wytartym dresie z eLką

i zamiast najzwyczajniej w świecie sprzedać mecz,

najzwyczajniej w świecie sprzedaje dowcip z brodą

i prosi o papierosa.

A ty naciągasz na oczy czapeczkę

z napisem Widzew Łódź - Mistrz Polski 1996,

rzucasz grajkowi wymiętego Camela

i, odwróciwszy na pięcie, na cały dworzec

wrzeszczysz: Marek Citko, Marek!,

bo co właściwie miałbyś zrobić?

A mógł zabić. Dokładnie tyle i tylko tyle

w kwestii działań zbrojnych na starym kontynencie.

G (FADE out)

Teraz to granica w punkcie; dalej nie będzie
już żadnych bezpiecznych kontaktów.
Dom służy wyłącznie cięciu paznokci.

Sława Śląska ewoluuje w Sławę Wielkopolską
i zegar mieści się już tylko na dworcu;
w żadnej bajce nie było tylu manowców.

Marynarka pozostawiona gdzieś w Lubuskiem
staje się poduszką zagubioną w Łódzkiem,
i w to właśnie wydają się wierzyć buddyści.

Mój namiot nie ma tropiku; on posiada
w standardzie planetarium! Mistyk rezonuje brzożą.
Dawno stąd mógłby liczyć na dowolne dywidendy,

a teraz wytarty portfel; dwie martwe dusze wewnątrz.
Doszliśmy do punktu, w którym każda ciąża byłaby
ciążą niechcianą, bo mogłoby z niej wyskoczyć dziecko.

Exit

Beskid Żywiecki jest podmiotem odpowiedzialnym
za ewolucję metaforyki w literaturze polskiej.

W sierpniu pewnego roku pańskiego popularny topos rozdartej sosny
został zastąpiony nowym, równie iglastym – upadłym świerkiem.

Właśnie w Beskidach, na skutek jakże nieprzyjaznej atmosfery
dokonała się czystka etniczna – wybito do pnia znaczną część

monokultur świerkowych. Szlag trafił wszystkie szlaki.
Zostaliśmy zupełnie sami, w punkcie z widokiem

na marne. Depcząc wyprodukowane w Chinach,
a opłacone przez polskich podatników, ślady papieskie

chwilami dotykałem nieba, pytałem: kto obierze świętego za patrona?
Ekumenicy, cukiernicy, praszczury wadowickiej turystyki?

I jeśli nadzieja naprawdę ginie ostatnia,
to kto gasi światło?

Spis wierszy

| | |
|--|----|
| Hip | 5 |
| Chiny | 6 |
| Kakofonia | 7 |
| Woalka [praxis] | 8 |
| Mieszkańcy Kłodzka domagają się prawdy ... | 9 |
| Opluty strikes back. | 10 |
| Brukowiec | 12 |
| Klip | 13 |
| Krostka | 14 |
| Blame, Etc. | 15 |
| Call | 16 |
| How, how, how, how | 17 |
| Krokodyl | 18 |
| Wentyl | 19 |
| Response | 20 |
| Anemometr | 21 |
| Apokryf | 23 |
| Kampania napotyka opór. | 24 |
| Mad Season | 25 |
| Antyrama | 26 |
| & | 27 |
| Oran-yeah! | 28 |
| SELAVIP | 29 |
| Dykta | 30 |
| Czech Airlines | 31 |
| Kanada | 33 |
| Pressing | 34 |
| G (FADE out) | 35 |
| Exit | 36 |

Książka-laureatka konkursu poetyckiego im. Klemensa Janickiego
Centrum Kultury „Zamek”
Poznań 2011

Jury

Mariusz Grzebalski, Szczepan Kopyt, Edward Pasewicz,
Robert Rybicki, Krzysztof Siwczyk

„Biblioteka Poezji Współczesnej”
tom 41

Redaktor serii

Mariusz Grzebalski

Redaktor

Natalia Słomińska

Autor okładki i koncepcji graficznej

Piotr Zdanowicz

Skład, łamanie

Dorota Bojkowska

Korekta

Natalia Słomińska

© Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu

© Centrum Kultury „Zamek”

© Tomasz Bąk

Poznań 2011

ISBN 978-83-62717-20-0

Wydawca

Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej
i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu
60-819 Poznań, ul. Prusa 3
tel. (61) 664 08 75
e-mail: wydawnictwo@wbp.poznan.pl
<http://www.wbp.poznan.pl>

Wydanie I

Druk i oprawa

Zakład Poligraficzny
Moś i Łuczak sp.j.
61-065 Poznań, ul. Piwna 1